



OD LUKOVA

Łyżwiarz, który jest już legendą, składa jej propozycję nie do odrzucenia.
Gdyby tylko nie był kimś, kogo od zawsze nienawidziła.

Z MIŁOŚCIĄ

MARIANA ZAPATA



Tytuł oryginału
From Lukov with Love
Copyright © 2018 by Mariana Zapata
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2022
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Alicja Chybińska
Korekta:
Joanna Błakita
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-039-2

MARIANA ZAPATA

OD LUKOVA Z MIŁOŚCIĄ

**TŁUMACZENIE
PIOTR PAZDEJ**

OŚWIĘCIM 2022

Dla mojej najlepszej przyjaciółki i najlepszej
osoby, jaką znam – mojej Mamy.
Prawdziwej *chingona**

* *Chingona* – (z hiszp.) meksykański termin slangowy z pogranicza
wulgarności, oznaczający dziś kobietę przebojową, odważną,
niebojącą się przeciwstawić problemom, pierwotnie stosowany
przez mężczyzn jako obraźliwe określenie kobiety niedającej się
kontrolować (przyp. tłum.).

Rozdział pierwszy

ZIMA/WIOSNA 2016

Po piątym z rzędu bolesnym upadku na tyłek dotarło do mnie, że powinnam dać sobie na wstrzymanie.

Przynajmniej jeśli chodzi o ten dzień.

Jutro moje pośladki znów będą w stanie znieść kolejne dwie godziny upadków. I pewnie właśnie tak to będzie wyglądać, jeśli nie dowiem się, co – do cholery – robię źle. To już drugi dzień, jak nie udało mi się poprawnie wykonać choćby jednego pieprzonego skoku.

Przekręcam się na pośladek, który obiłam mniej razy, wypuściłam powietrze z frustracją, i cudem zdołałam zdusić w sobie gwałtowną chęć wykrzyczenia „kurwa mać”, po czym odchyliłam głowę, żeby sufit mógł zobaczyć to, co działo się na mojej twarzy. Niemal natychmiast zrozumiałam, że to była pierdolona pomyłka. Wiedziałam przecież, co zwisało z sufitu tego obiektu w kształcie kopuły. To samo, na co musiałam patrzeć przez ostatnie trzynaście lat.

Transparenty.

Transparenty zwisające z belek.

Transparenty z nazwiskiem tego samego dupka.

IVAN LUKOV. IVAN LUKOV. IVAN LUKOV.

I jeszcze więcej Ivana Lukova.

Były tam również inne nazwiska – nieszczęśliwych dusz, z którymi współpracował przez lata – ale to właśnie jego dosłownie samo rzucało się w oczy. I to nie dlatego, że brzmiało tak jak to, które nosił jeden z moich najulubieńszych ludzi na świe-

cie, ale dlatego, że przypominało mi o istnieniu Szatana. Byłam wręcz pewna, że rodzice adoptowali go prosto z piekła.

Ale w tym momencie nic innego nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia, liczyła się tylko obecność tych wiszących nade mną szmat.

Pięć transparentów z błękitnego materiału odpowiadających każdemu ze zdobytych przez niego tytułów mistrza kraju. Dwa czerwone za mistrzostwa świata. Dwa maślanożółte za złote medale Igrzysk Olimpijskich. I jeden srebrzysty upamiętniający srebrny medal mistrzostw świata, który można było oglądać w gablocie z trofeami przy wejściu do budynku.

Ambitniak. Dupek. Jełop.

I tylko jakiemuś pieprzonemu cudowi zawdzięczałam to, że nie powiesili jeszcze więcej tego gówna, by uwiecznić każde mniejsze lub większe zawody, które wygrał na przestrzeni lat, bo wtedy cały ten sufit byłby upstrzony kolorami, a ja codziennie puszczałabym pawia.

Tyle transparentów... i na żadnym z nich nie było mojego nazwiska. Nawet na jednym. Nieważne, jak bardzo się starałam, jak ciężko trenowałam, zero. Bo nikt nigdy nie pamięta o tym, kto zajął drugie miejsce. Chyba że było się Ivanem Lukovem. A ja nim zdecydowanie nie byłam.

Zazdrość, której nie miałam prawa czuć, ale której nie mogłam też całkowicie zignorować, przeszywała mnie na wylot, a ja naprawdę nienawidziłam tego uczucia. *Tak kurewsko go nienawidziłam.* Martwienie się tym, co robią inni, było stratą czasu i energii – nauczyłam się tego już jako dziecko, gdy inne dziewczynki miały ładniejsze kostiumy i nowsze łyżwy ode mnie. Zazdrość i zgorzknienie cechowało ludzi niemających nic lepszego do roboty. Wiedziałam o tym. Marnowanie czasu na porównywanie się z innymi oznaczało marnowanie własnego życia. To też wiedziałam.

I nigdy nie chciałam być kimś takim. A już zwłaszcza nie z powodu tego dupka. Prędzej zabrałabym ze sobą do grobu te trzy

sekundy zazdrości, niż powiedziała komukolwiek, co te transparenty mi zrobiły.

Właśnie z tą myślą, przypomnieniem, jak chcę żyć, przekręciłam się na kolana, żeby przestać patrzeć na te głupie kolorowe szmaty.

Oparłam dłonie o lód, stękając, podciągnęłam nogi pod siebie – balansowanie na płozach było moją drugą naturą – i w końcu wstałam. *Znowu*. Piąty pieprzony raz w ciągu mniej niż piętnastu minut. Lewa kość biodrowa, pośladek i udo promieniowały tępy bólem i wiedziałam, że jutro będzie jeszcze gorzej.

– Ja pierdołę – mruknęłam pod nosem, tak, żeby nie usłyszała mnie żadna z młodszych dziewczyn jeżdżących wokół. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, było to, żeby któraś z nich podkiblowała mnie do dyrekcji. *Znowu*. Małe kapusie. Jakby nigdy nie słyszały żadnych przekleństw, oglądając telewizję, idąc ulicą czy jadąc do szkoły.

Strzepując drobinki lodu pokrywające mój bok po ostatnim upadku, wzięłam spokojny wdech i stłumiłam narastającą w moim wnętrzu frustrację. Frustrację na wszystko – na siebie, na swoje ciało, na swoją sytuację, na swoje życie, na inne dziewczyny, których nie mogłam, kurwa, przekląć. I tak ogólnie – na cały dzisiejszy dzień. Zaczynając od tego, że zasnęłam i nie byłam w stanie wykonać skoku, przez dwukrotne wylanie kawy na koszulę w pracy, otarcie się o złamanie rzepki podczas otwierania drzwi samochodu, aż po drugą sesję równie gównianego treningu...

Zapomnienie o tym, że w wielkim planie życia kilka nieudanych skoków pośród tych wszystkich udanych, które wykonywałam od dziesięciu lat, nic nie znaczyło, przyszło mi na szczęście z łatwością. To był tylko nieudany dzień. *Po prostu kolejny* nieudany dzień. I to nie było coś, co się jeszcze nigdy zdarzyło. Zawsze mogło być gorzej. I na pewno będzie – gdzieś, kiedyś. Bo gdy wszystko wydaje się sprzyjać, przyjmowanie rzeczy za pewnik jest takie łatwe. Jednak dopiero wtedy, gdy zaczynasz

brać za pewnik najbardziej podstawowe rzeczy, życie postanawia dać ci do zrozumienia, że jesteś niewdzięcznym idiotą.

A rzeczą, którą jeszcze dziś rano uważałam za oczywistą formalność, był potrójny salchow – skok, który wykonywałam od lat. Nie był to najłatwiejszy skok w łyżwiarstwie figurowym – polega on na wykonaniu w powietrzu trzech obrotów zaczynających się od najazdu tyłem z wewnętrznej krawędzi ostrza łyżwy, a kończących się lądowaniem na zewnętrznej krawędzi ostrza łyżwy nogi przeciwnej. W normalnych okolicznościach było to dla mnie czymś całkowicie naturalnym.

Ale najwyraźniej nie dziś i nie wczoraj.

Pocierając powieki grzbietami rąk, wzięłam głęboki wdech, po czym powoli wypuściłam powietrze, wykonując jednocześnie krążenia barkami i powtarzając sobie w myślach, że muszę się uspokoić i wrócić do domu. Zawsze był przecież następny dzień.

A praktyczna, i jednocześnie złośliwa, część mojego mózgu przypomniła mi od razu, że *w najbliższym czasie i tak nie czeka mnie udział w żadnych zawodach.*

I tak, jak za każdym razem, gdy myślałam o tym jakże cudownym fakcie, mój żołądek zacisnął się pod wpływem czystej złości... i czegoś, co wydawało się bardzo bliskie rozpacz.

I tak jak postępowalam przy wszystkich okazjach, gdy to się działo, zepchnęłam oba te uczucia daleko, daleko, daleko w głąb siebie, tak daleko, że nie mogłam ich zobaczyć, dotknąć ani poczuć. *Roztrząsanie ich nie ma żadnego sensu.* Wiedziałam o tym. Absolutnie żadnego.

Nie miałam zamiaru się poddać.

Ponownie wzięłam głęboki wdech i ponownie wypuściłam wolno powietrze, pocierając jednocześnie nieświadomie ten bardziej błagający o litość pośladek, i po raz ostatni tego dnia obrzucając lodowisko spojrzeniem. Widok dużo młodszych ode mnie dziewczyn, które wciąż usilnie starały się wyciągnąć jak najwięcej z trwającego wciąż treningu, sprawił, że ledwo powstrzy-

małam się od zmarszczenia brwi. Trzy dziewczyny były mniej więcej moimi rówieśniczkami, ale wszystkie pozostałe miały po kilkanaście lat. Może nie były aż tak dobre – a przynajmniej nie tak dobre, jak ja w ich wieku – ale przynajmniej robiły, co mogły. *Miały przed sobą całe życie*. Bo tylko w łyżwiarstwie figurowym, no i może jeszcze w gimnastyce artystycznej, można było zostać uznanym za zabytek w wieku dwudziestu sześciu lat.

Tak, musiałam wrócić do domu, położyć się na kanapie przed telewizorem i zapomnieć o tym głównianym dniu. Przecież urządzanie imprezki z uzalaniem się nad sobą jako głównym punktem programu nigdy nie przynosiło niczego dobrego. Nigdy.

Dotarcie do niskiej bandy otaczającej lodowisko jednocześnie uważając, by nie zderzyć się z żadną z pozostałych na taflę osób, nie zajęło mi więcej niż kilka sekund. Chwyciłam ochraniacze na płozy leżące w tym samym miejscu, w którym zawsze je zostawiałam, i zanim weszłam na twarde podłoże, wsunęłam je na szerokie na cztery milimetry ostrza przyczepione do moich białych butów.

Próbowałam zignorować uczucie ucisku w klatce piersiowej, które najprawdopodobniej spowodowane było frustracją z powodu tak wielu upadków, choć mogło też zupełnie czymś innym.

Nie zamierzałam pogodzić się z faktem, że być może marnuję czas, przychodząc dwa razy dziennie na treningi do Kompleksu Lodowo-Sportowego Lukova z nadzieją, że jeszcze kiedyś wystąpię na zawodach, bo sama myśl o poddaniu się wydawała się równoznaczna z przyznaniem, że zmarnowałam ostatnie szesnaście lat życia. Że poświęciłam swoje dzieciństwo na próżno. Że poświęciłam przyjaźnie, znajomości i normalne ludzkie doświadczenia okresu dorastania dla marzenia, które kiedyś było tak wielkie, że nic i nikt nie było w stanie mnie go pozbawić.

Nie chciałam też myśleć, że moje marzenie o zdobyciu złotego medalu... a przynajmniej o zdobyciu mistrzostwa świata, czy choćby mistrzostwa kraju... zostało rozbite na drobne fragmenty

wielkości konfetti, których wciąż kurczowo się trzymałam, choć jakaś część mnie zdawała sobie sprawę, że to wszystko bardziej mi szkodzi, niż pomaga.

Nie.

To była tylko jedna z tych myśli i możliwości, od których niemal codziennie bolał mnie brzuch i które tak często przyprawiały mnie o mdłości.

Musiałam się wyciszyć. A może oddać sesji masturbacji. Cokolwiek, co mogłoby mi pomóc.

Otrząsając się z tego okropnego uczucia przepelniającego moje trzewia, obeszłam lodowisko i poszłam dalej korytarzem prowadzącym do szatni, zauważając dopiero teraz, jak wielu ludzi jest już w ośrodku. Wokół tafla kręcili się już rodzice i dzieci przygotowujące się do wieczornych zajęć – tych samych, na których zaczynałam w wieku dziewięciu lat, zanim przeszłam do treningów w mniejszych grupach, a potem do indywidualnych lekcji z Galiną. Stare dobre czasy.

Celowo nie podnosiłam głowy, żeby nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego, i szłam dalej, mijając inne osoby, które również robiły wszystko, byle tylko uniknąć mojego spojrzenia. Grupę czterech nastolatek stojących blisko siebie i udających, że się rozciągają, zauważyłam dopiero, gdy szłam korytarzem w kierunku miejsca, gdzie zostawiłam swoje rzeczy. Z pewnością udawały, ponieważ nie można się dobrze rozciągnąć, jeśli całą uwagę skupia się na gadaniu.

A przynajmniej tak mnie uczono.

– Cześć, Jasmine! – Przywitała się jedna z nich, sympatyczna dziewczyna, która odkąd pamiętam, zawsze bardzo się starała, żeby być dla mnie miła.

– Cześć, Jasmine. – Zawtórowała jej dziewczyna stojąca obok.

Nie mogłam nie odpowiedzieć choćby zwykłym kiwnięciem głową, nawet jeśli w myślach odliczałam już tylko czas, jaki dzielił mnie od powrotu do domu, przygotowania jakiegoś posiłku

albo odgrzania w mikrofalówce czegoś, co zrobiła mama i, co najbardziej prawdopodobne, bezczynnego oglądania telewizji. Może gdyby trening przebiegł lepiej, chciałabym zrobić coś innego, na przykład pobiegać albo pójść do siostry, ale... na to się nie zanosilo.

– Udanego treningu – mruknełam do tej sympatycznej dwójki dziewczyn, taksując szybkim spojrzeniem dwie pozostałe, stojące naprzeciwko w milczeniu.

Wyglądały znajomo. Domyśliłam się, że muszą być zapisane na mające się niedługo rozpocząć zajęcia dla średniozaawansowanych łyżwiarzy. Nie miałam najmniejszego powodu, by poświęcać im choćby odrobinę uwagi.

– Dzięki, nawzajem! – krzyknęła dziewczyna, która odezwała się do mnie pierwsza, po czym gwałtownie zamknęła usta, a jej twarz przybrała taki odcień czerwieni, jaki w przeszłości widziałam tylko u jednej osoby: mojej siostry.

Uśmiech, który pojawił się na moich ustach, był szczery i niespodziewany – ta dziewczyna sprawiła bowiem, że pomyślałam o Squirt – po czym otworzyłam ramieniem wahadłowe drzwi przebiegalni. Zdażyłam zrobić krok do środka, a moje ramię wciąż powstrzymywało drzwi przed zamknięciem, kiedy usłyszałam:

– Nie wiem, dlaczego tak się cieszysz na jej widok. Może i była dobrą solistką, ale zawsze zawodziła w najważniejszych momentach, a jej kariera w parach to przecież nic nadzwyczajnego.

I... zamarłam. W miejscu. Z jedną nogą w szatni, a drugą na korytarzu. A potem zrobiłam coś, co od razu uznałam za zły pomysł: wyjęłam słuch.

Podłuchiwanie nigdy nie wychodziło nikomu na dobre, ale i tak nie mogłam się powstrzymać.

– Mary McDonald jest lepsza w parach...

Oddychaj, Jasmine. Oddychaj. Trzymaj język za zębami i oddychaj. Pomyśl o tym, co chcesz powiedzieć. Pomyśl o tym, jak daleko zaszłaś. Pomyśl o...

– ...gdyby było inaczej Paul nie wybrałby jej jako partnerki w ostatnim sezonie – dokończyła dziewczyna.

Napaść była niezgodna z prawem. Ale czy przywalenie wrednej nastolatce byłoby jeszcze gorszym przestępstwem?

Oddychaj. Myśl. Bądź miłsza.

Żyłam już na tyle długo, że powinnam być mądrzejsza. Wiedziałam o tym. Byłam na tyle dorosła, by nie obrażać się na jakąś nastoletnią pinde, która prawdopodobnie nie przeszła jeszcze okresu dojrzewania, ale...

Cóż, moja kariera w parach była bolesnym punktem. A „bolesny punkt” oznaczał w tym przypadku krwawiący pęcherz, który nie chciał się zagoić. Mary McDonald i Paul Jebany Dupek Do Spalenia Żywcem? Naoglądałam się późnymi wieczorami, gdy nie mogłam zasnąć, wystarczająco dużo *Brady Bunch*¹, by doskonale zrozumieć, dlaczego Jan tak bardzo nie dogadywała się z Marcją. Ja też nienawidziłabym tej franczy. Tak samo jak nienawidziłam Mary McDonald.

– Widziałas w internecie te wszystkie filmiki o niej? Moja mama mówi, że ma złe usposobienie i dlatego nigdy nie wygrała, sędziowie jej nie lubią. – Druga dziewczyna próbowała szeptać, ale bezskutecznie, bo słyszałam ją bardzo wyraźnie.

Nie musiałam tego robić. Nie musiałam robić niczego. To jeszcze dzieciaki, próbowałam sobie wmówić. Nie znały całej historii. Nie znały nawet jej części. Większość ludzi jej nie znała i nigdy nie pozna. Pogodziłam się z tym i przebolełam już dawno.

Ale wtedy jedna z nich odezwała się ponownie, a ja wiedziałam od razu, że nie będę w stanie dłużej milczeć i pozwalać, by powtarzały dalej te same bzdury. Istnieje granica tego, ile można znieść w ciągu jednego dnia, a ten dzień już i tak nie należał do najlepszych.

¹ *The Brady Bunch* – amerykański sitcom emitowany od 26 września 1969 do 8 marca 1974 na antenie ABC. Jan i Marcja to dwie z trzech córek Carol Martin, drugiej żony Mike'a Brady'ego (przyp. tłum.).

– Moja mama powiedziała, że jedynym powodem, dla którego wciąż tu trenuje, jest to, że przyjaźni się z Kariną Lukov, ale podobno ona i Ivan nie mogą się dogadać...

Byłam *cholernie* blisko parsknięcia śmiechem. Ivan i ja nie możemy się dogadać? Tak właśnie to określano? *Dobra*.

– Ona jest trochę sukowata.

– Nic dziwnego, że po tym, jak Paul ją zostawił, nie mogła znaleźć sobie innego partnera.

I stało się.

Może gdyby nie wypowiedziały ponownie imienia na „P”, udałoby mi się zachować bardziej dojrzałe, ale pieprzyć to, mój metr sześćdziesiąt wzrostu dawał mi niezłe usprawiedliwienie, by zachować się jak niedojrzała gówniara.

Zanim zdążyłam powstrzymać samą siebie, odwróciłam się i wyjrzałam na korytarz. Cztery laski stały w tym samym miejscu.

– Co powiedziałyście? – zapytałam powoli, zachowując „wy, pozbawione talentu bzdziągwy, które nigdy nie podskoczycie wyżej gównianego poziomu, na którym jesteście” dla siebie. Upewniłam się, że patrzę dokładnie na te dwie, które się ze mną nie przywitały, a których głowy teraz odwróciły się gwałtownie w moim kierunku, gdy tylko zaczęłam mówić.

– Ja... ja... ja... – jąkała się jedna z nich, podczas gdy druga wyglądała, jakby zaraz miała zesrać się w ten swój trykot i rajstopy. I dobrze. Miałam nadzieję, że tak się stanie. I że konsystencją będzie to przypominało biegunkę, która dostanie się dosłownie wszędzie.

Wpatrywałam się w każdą z nich chyba przez minutę, obserwując, jak ich twarze robią się czerwone i czerpiąc z tego odrobinę przyjemności... ale nie tak dużą, jak wtedy, gdybym nie była jednak bardziej wkurzona na siebie niż na nie.

Uniosłam brwi, i rozciągnęłam usta w grymasie przypominającym uśmiech, ale wcale nim niebędącym.

– Tak właśnie myślałam. Powinnyście iść już na trening, żeby się nie spóźnić. – Przechyliłam głowę w kierunku tunelu wyglądającego jak hala, którym przed chwilą przeszłam z lodowiska do szatni. Jakimś cudem powstrzymałam się przed dodaniem na końcu „wy głupie cipy”.

W niektóre dni zasługiwałam na medal za swoją cierpliwość do idiotów. Gdyby tylko organizowano zawody w tej dyscyplinie, miałabym duże szanse na zwycięstwo.

Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że nigdy już nie zobaczę dwóch osób poruszających się tak szybko – chyba że podczas oglądania sprinterek na Igrzyskach. Dwie miłe dziewczyny wyglądały na lekko przerażone, rzuciły mi szybkie niespokojne uśmiechy i ruszyły za tamtą dwójką, szepcząc do siebie Bóg wie co.

To właśnie z powodu takich dziewczyn jak ta parka gówniarz szybko przestałam próbować zaprzyjaźniać się z innymi łyżwiarkami figurowymi. Małe pizdy. Pokazałam środkowy palec oddalającym się w głębi korytarza sylwetkom, ale nie poprawiło mi to nastroju.

Musiałam jakoś to z siebie wyrzucić. Bardzo, naprawdę bardzo, tego potrzebowałam.

Weszłam w końcu do szatni i opadłam na jedną z ławek przed rzędem szafek, wśród nich znajdowała się moja; ten krótki spacer od lodowiska sprawił, że ból w biodrze i udzie stał się silniejszy. Zdarzało mi się upadać o wiele mocniej i boleśniej niż dzisiaj, jednak nawet świadomość tego faktu za nic nie sprawi, że ktokolwiek „przyzwyczai się” do bólu. Jedyne, co można osiągnąć, jeżeli przydarza się to regularnie, to szybsze przechodzenie nad tym do porządku dziennego. Prawda była jednak taka, że nie trenowałam tak jak kiedyś. Nie trenowałam, bo zwyczajnie nie mogłam – tak to jest, gdy nie ma się partnera do ćwiczeń ani trenera, który każdego dnia godzinami poprawia błędy – i dlatego moje ciało zapomniało już, co może wytrzymać.

Był to kolejny główniany znak, że czas i życie płyną dalej, nawet jeśli ja tego nie chcę.

Wyciągnęłam nogi przed siebie, ignorując kilka starszych nastolatek, które zgromadziły się po przeciwnej, najbardziej oddalonej od wejścia stronie pomieszczenia, ubierając się, poprawiając buty i cały czas rozmawiając. Nie spojrzały na mnie, a ja jedynie zerknęłam w ich stronę kątem oka. Rozwiązując sznurówki, przez sekundę zastanawiałam się nad wzięciem prysznic, po czym doszłam do wniosku, że to niepotrzebne zajęcie, skoro mogę poczekać dwadzieścia minut i przebrać się, a następnie wziąć prysznic w swojej własnej łazience, która ma odpowiednie dla takiego miejsca rozmiary. Zdjęłam prawą białą łyżwę, po czym ostrożnie ściągnęłam bandaż w cielistym kolorze, którym owinięta była moja kostka i kilka centymetrów łydki powyżej.

– O mój Boże! – Jedna z nastolatek z drugiej strony pomieszczenia krzyknęła na tyle głośno, że nie było możliwości, aby nie przedarło się to do mojej świadomości. – Nie żartujesz, co?

– Nie! – odpowiedział jej inny głos, a ja rozsznurowałam lewą łyżwę, starając się nie zwracać na nie uwagi.

– Poważnie? – Kolejny głos, a może ten sam, który usłyszałam jako pierwszy. Nie byłam pewna. Przecież wcale nie próbowałam przysłuchiwać się ich rozmowie.

– Poważnie!

– Poważnie?

– Poważnie!

Przewróciłam oczami i dalej próbowałam je ignorować.

– Nie!

– Tak!

– Nie!

– Tak!

Nie byłam w stanie ignorować tego typu gówna. Czy kiedykolwiek byłam aż tak irytująca? Tak dziewczęca? Niemożliwe.

– Gdzie to usłyszałaś?

Byłam w trakcie wpisywania kodu do zamka szyfrowego mojej szafki, kiedy wybuchła kakofonia głosów. Odruchowo obejrzałam się przez ramię i spojrzałam na dziewczyny. Jedna z nich wyglądała tak, jakby nawąchała się speedu: szczyrzyła zęby i miała wyciągnięte na boki ręce, którymi poruszyła nagle i głośno klasnęła. Inna dziewczyna trzymała obie dłonie ze splecionymi palcami tuż przed swoimi ustami i odniosłam wrażenie, że cała się trzęsie.

Co, do ciężkiej cholery, było z nimi nie tak?

– Usłyszałam? Widziałam, jak wchodził z trenerką Lee.

O rany.

Oczywiście. O kim innym miałyby rozmawiać?

Nie chciało mi się nawet wzdychać ani przewracać oczami, odwróciłam się z powrotem do swojej szafki i wyciągnęłam sportową torbę, którą otworzyłam od razu, jak tylko położyłam ją na ławce obok. Wyciągnęłam telefon, klucze, klapki i małego batonika Hershey's, którego trzymałam właśnie na takie dni jak ten. Rozdarłam opakowanie, włożyłam cały do ust, po czym sięgnęłam po telefon. Zielona dioda w rogu ekranu mrugała, sygnalizując mi, że mam nieprzeczytane wiadomości. Odblokowałam telefon, zerkając jednocześnie przez ramię. Nastolatki wciąż skrzeczały i sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały dostać ataku serca z powodu Ćwoka. Olałam je i nie spiesząc się, przeczytałam wiadomości na grupowym czacie, które ominęły mnie podczas treningu.

Jojo: Chcę iść dziś wieczorem do kina. Ktoś chętny?

Tali: Zależy. Na jaki film?

Mama: Kochanie, Ben i ja pójdziemy z tobą.

Seb: Nie. Dziś wieczorem mam randkę.

Seb: James nie chce iść z tobą? Wcale mu się nie dziwię.

Jojo: Nowy film Marvela.

Jojo: Seb, mam nadzieję, że złapiesz jakiegoś syfa.

Tali: Marvel? Nie, podziękuję.

Tali: Seb, też mam nadzieję, że złapiesz chorobę weneryczną.

Mama: CZY MOGLIBYŚCIE BYĆ DLA SIEBIE MILI?

Seb: Wszyscy możecie się wypchać, oprócz mamy.

Ruby: Poszedłbym z tobą, ale Aaron źle się czuje.

Jojo: Wiem, że byś poszedł, Squirt. Kocham Cię. Następnym razem.

Jojo: Mamo, to idziemy. 7:30 pasuje?

Jojo: Seb – [emotek ze środkowym palcem]

Jojo: Jas, idziesz też?

Uniosłam głowę, gdy dziewczyny w szatni zaczęły wydawać z siebie odgłosy, których sama chyba nie byłabym w stanie wytworzyć, zastanawiając się, co też, do cholery, się z nimi dzieje. Jezu Chryste, zachowywały się tak, jakby Ivan nie trenował tu pięć dni w tygodniu przez ostatnie milion lat. Samo spotkanie go na korytarzu nie było przecież aż tak ekscytujące. Wolałabym patrzeć, jak farba schnie na świeżo pomalowanej ścianie.

Rusząc palcami u stóp, przyjrzałam się jasnoróżowym paznokciom i świadomie zignorowałam siniaka, który pojawił się tuż obok najmniejszego palca u nogi, oraz wskazujące na początek pęcherza zaczerwienienie powstałe obok dużego palucha, prawdopodobnie od szwu założonych dzień wcześniej rajstop nowej marki.

– Co on tu robi? – Nastolatki wciąż rozmawiały, przypominając mi, że muszę jak najszybciej wyjść z tego pomieszczenia. Naprawdę doszłam już do granicy tego, co mogłam dzisiaj wytrzymać.

Spojrzałam znów na swój telefon, próbując zdecydować co robić: pójść do domu i obejrzeć film czy zacisnąć zęby i pójść do kina z bratem, mamą oraz Benem – lub, jak nazywaliśmy go w tajemnicy, z numerem cztery?

Wolałabym wrócić do domu i nie siedzieć w weekend w zatłoczonej sali kinowej, ale...

Siedziałam przez chwilę z dłońmi zaciśniętymi w pięści, a następnie napisałam odpowiedź.

Pójdę, ale najpierw muszę coś zjeść. Teraz jadę do domu.

Potem uśmiechnęłam się i dodałam kolejne zdanie.

Seb, trzeci głos, że coś złapiesz. Tym razem celuj w rzeźączkę.

Położyłam telefon między nogami, wyjęłam kluczyki do samochodu z kieszeni torby, złapałam japonki i ostrożnie włożyłam łyżwy do specjalnego ochronnego futerału wyłożonego sztucznym futrem i cienką pianką, który mój brat Jonathan i jego mąż kupili mi wiele lat temu. Zapięłam torbę, wsunęłam stopy w japonki i stanęłam prosto z westchnieniem, które sprawiło, że poczułam ucisk aż w piersi.

To nie był mój najlepszy dzień, ale postanowiłam, że stanie się lepszy.

Musi.

Dobra wiadomość była taka, że jutro nie musiałam pracować, a w niedziele zazwyczaj nie pojawiałam się też na lodowisku. Moja mama pewnie zrobi naleśniki na śniadanie, a ja miałam w planach wyjście do zoo z bratem i bratanicą, bo akurat przypadał jego dzień. Przez łyżwiarstwo figurowe ominęło mnie już wystarczająco dużo chwil w jej życiu, a aktualny nadmiar wolnego sprawiał, że starałam się to nadrobić. Takie podejście było dla mnie zdecydowanie lepsze niż zastanawianie się nad tym, co jest powodem tego, że mam więcej czasu. Starałam się myśleć bardziej pozytywnie, ale nie byłam w tym jeszcze zbyt dobra.

– Nie wiem – oznajmiła jedna z dziewczyn. – Ale zwykle nie pojawia się przez miesiąc lub dwa po zakończeniu sezonu, a minęło raptem ile? Tydzień od mistrzostw świata?

– Ciekawe, czy rozstał się z Mindy.

– A niby dlaczego miałby tak zrobić?

– Nie wiem. A dlaczego rozstał się z każdą z tych przed nią?

Od chwili, gdy jedna z nich wypowiedziała nazwisko trenerki Lee, wiedziałam już, o kim wciąż rozmawiają. Tylko jedna z osób, które były związane z KL, jak większość z nas nazywała Kompleks Lodowo-Sportowy Lukova, albo w skrócie Kompleks Lukova, mogła cieszyć się u tych dziewczyn takim poważaniem i poklaskiem. Był to ten sam facet, którego szanowali i wielbili wszyscy wokół. A przynajmniej wszyscy poza mną. I każdą inną osobą z mózgiem. Ivan Lukov.

Albo, jak lubiałam go nazywać, zwłaszcza stojąc z nim twarzą w twarz – syn Szatana.

– Powiedziałam tylko, że go widziałam. Nie wiem, co on tu robi – usłyszałam. – On nigdy nie przychodzi bez powodu, Stacy. No, weź połącz kropki.

– O mój Boże, czy on i Mindy się rozstali?

– Jeśli tak, to ciekawe, z kim będzie jeździł.

– To może być każda.

– O w mordę, dałabym wszystko za zostanie jego partnerką – rzuciła jedna z dziewczyn.

– Przecież nie masz zielonego pojęcia o jeździe w parze, idiotko – odpowiedziała inna z szyderczym prychnięciem.

Nie słuchałam zbyt uważnie, ale mój mózg cały czas łączył fragmenty ich komentarzy, które wpadały jednym, a wypadały drugim uchem.

– Czy to aż takie trudne? – odezwała się kolejna, a w jej głosie słychać było dumę. – Ma najlepszy tyłek w kraju i wygrywa z każdym. Dla mnie brzmi to łatwo jak pójście na spacer do parku.

Znowu przewróciłam oczami, zwłaszcza na tę wzmiankę o tyłku. Ostatnią rzeczą, jaką ten idiota potrzebował usłyszeć, był komplement skierowany w jego nadęte ego. Laska pominęła jednak to, co w Iwanie było najistotniejsze. To, że był cudownym-łamane-przez-skarbem świata łyżwiarstwa figurowego. Chłopcem z plakatu Światowego Związku Łyżwiarstwa reklamującym łyżwiarstwo w parach. Cholera, łyżwiarstwo w ogóle.

Był „łyżwiarskim królewiczem”, jak nazywali go niektórzy. Gdy był nastolatkiem, ludzie mówili o nim „cudowne dziecko”.

To człowiek, którego rodzina posiadała ośrodek, w którym trenowałam przez ponad dziesięć lat. Był też bratem jednej z moich najbliższych przyjaciółek.

Człowiekiem, który od ponad dziesięciu lat ani razu nie powiedział do mnie miłego słowa. Takiego właśnie go znałam. Widywałam tego dupka codziennie przez lata, a on tylko od wielkiego dzwonu wyklócał się ze mną o jakieś głupoty. Mężczyzna, z którym nie potrafiłam rozmawiać, żeby nie skończyło się to wyzwiskami z mojej lub jego strony.

Tak... Również nie rozumiałam powodu, dla którego był w Kompleksie Lukova zaledwie tydzień po zdobyciu trzeciego tytułu mistrza świata i kilka dni po zakończeniu sezonu – podczas gdy powinien odpoczywać lub wyjechać na jakieś wakacje. Przynajmniej odkąd sięgam pamięcią, tak właśnie robił każdego roku.

Czy obchodziło mnie, że był tak blisko? Nie. Gdybym naprawdę chciała wiedzieć, co się dzieje, mogłabym zwyczajnie zapytać Karinę. Ale nie zamierzałam pytać. Nie miałam takiej potrzeby.

Bo przecież Ivan i ja nie planowaliśmy w najbliższym czasie ze sobą rywalizować... ani nigdy więcej, jeśli sprawy dalej będą się toczyć tak, jak do tej pory.

I gdy tak stałam w przebieralni, tej samej, z której korzystałam przez ponad połowę swojego życia, coś mi podpowiadało, nawet jeśli nie chciałam w to wierzyć – nigdy, przenigdy – że może właśnie o to chodziło – oto nadchodzi mój koniec. Po tak długim czasie, po tak wielu miesiącach spędzonych z samą sobą... moje marzenie mogło się skończyć.

A ja nie miałam ani jednej pieprzonej rzeczy, którą mogłabym się pochwalić.